

Bajeczka *bien faite*

Budynek Teatru im. Wilama Horzycy w Toruniu wybudowano w 1904 roku. Kiedy byłam dzieckiem, jego widownia, rzędy łóż na balkonie, czyli cała staroświecka architektura i klimat jak z poprzedniej epoki (tj. poprzedzającej realny socjalizm) były dla mnie wcieleniem „magii teatru” w czystej postaci. Później już taki styl budynków teatralnych nie kojarzył mi się z „magią”, ale raczej z „burżuazją”, co jest pewnie naturalnym elementem dorastania. Aż teraz, po latach nagle znalazłam się w Teatrze im. Horzycy na przedstawieniu, które znakomicie konweniowało z architekturą.

Mówiąc krótko: było tak staroświeckie, że spokojnie mogłoby powstać wiek wcześniej. Zamiast jednak zniesmaczyć się, doświadczyłam czegoś, co nazwałabym „odwróconym efektem Gałkiewicza”: jak to zachwyca, skoro nie powinno? Na dodatek jeszcze ten staroświecki autor, którego tekst pamiętam z jakichś wypisów z czasów szkolnych – może tam też zetknął się z radzieckim pisarzem dla dzieci Samuelem Marszakiem reżyser *Dwunastu miesięcy*, Bartosz Zaczykiewicz?

Nikt już tak nie pisze dla dzieci, a gdyby ktoś spróbował – zabito by go śmiechem, a jednak ten tekst na scenie się sprawdził... Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Konfundujących pytań jest więcej. Dlaczego coś tak niedzisiejszego, tak bardzo zaczarowało dzieci – od takich jeszcze w pieluchach do młodszych nastolatków – że przesiedziały cicho cały spektakl? Może dlatego, że w większości były to dzieci pracowników teatru? Zza pleców słyszałam na przykład takie sceniczne szepty: „Widzisz to złote? Mój tata to zrobił...” Trudno mi jednak uwierzyć, iż to wyłącznie szacunek dla pracy rodzica jest w stanie przygwoździć trzylatka do fotela na dwie długie godziny z jedną przerwą na siusiu (dziewczynka koło mnie dzielnie walczyła z pęcherzem, ale wyjść z widowni przed przerwą nie chciała). Jakim cudem coś tak bardzo niedzisiejszego, tak bardzo spodobało się dzieciom (i mnie też, choć, do cholery, nie powinno – bo blichtr, bo naiwność, bo „ujutność” scenografii, bo wycacane kostiumy jak z bajek, które pamiętam z dzieciństwa). Cóż, przyszło mi się poddać, zawiesić ironię oraz zmysł krytyczny na kołku i uznać, że teatr to przestrzeń paradoksów i najwyraźniej magia Teatru im. Horzycy po latach zadziałała na mnie jeszcze raz, w bardzo nieoczekiwany sposób.

Tekst Marszaka (przypomnienie dla tych wszystkich, dla których znajomość dziecięcej literatury radzieckiej nie była obowiązkowa) opowiada o biednej sierocie (to postacie obowiązkowo dobre, bo nieszczęście uszlachetnia), którą zachłanna macocha (macochy zawsze są zachłanne, bo tylko dybiąc na majątek, mogą chcieć poślubić wdowców z potomstwem) wysyła do lasu w śnieżycę, by na rozkaz rozwyrzonej królowej (królowej zawsze są w takich bajkach złe, bo głupie i reprezentują władzę słusznie minioną) znalazła w sylwestra fiołki. Bez fiołków królowa odwoła nadejście Nowego Roku. Macocha chce obiecanego przez królową bogactwa dla swojej rodzonej córki, która jest jej oczkiem w głowie (a także, jak to w takich bajkach, jest leniwa, samolubna, zła, oszukuje i kradnie). Można by powiedzieć, że główna bohaterka staje sama przeciw światu, ale to w końcu bajka, więc po jej stronie stają zjednoczone siły przyrody, czyli zwierzęta leśne oraz tytułowe upersonifikowane dwanaście miesięcy, a jeden z nich, od którego zależało pojawienie się fiołków, ewidentnie się sierotką zauroczył w męsko-damskim kontekście. Z takimi siłami nie wygra żadna władza królewska, z góry więc wiadomo, że mimo wszystkich przeszkód świat koniec końców należeć będzie do sierotki (która zjawia się w ostatniej scenie odstawiona niczym carewna). Ci, co mogą, nawrócą się na dobro (jak królowa, której siły przyrody urządzą lekcję pokory), a ci, którzy nabrechtali sobie za bardzo (jak macocha z córką), zostaną przez te siły przykładowie ukarani, czyli zamienieni w mopsy (dlaczego

akurat w mopsy? to może nie najpiękniejsze psy, ale bardzo sympatyczne).

Cała ta historia prowadzona jest w bardzo wolnej narracji, gdzie każda racja, każdy szczegół zostaje wyjaśniony przy pomocy słów. Te słowa są delikatnie dydaktyczne, szczególnie przypadły mi tu do gustu kwestie profesora królowny (Michał Marek Ubysz), który w pewnym momencie przewycięża strach przed zapowiedzianą karą i przeciwstawia zachciankom królowny (Matylda Podfilipska) to, co zwykliśmy uważać za twardą wiedzę naukową. W jego starciach z królowną pojawia się delikatny humor, kiedy krnąbrna uczennica odpowiada mu na przykład: „Nie mogę jednocześnie pisać i myśleć”. Tym rozwydrzonym odpowiedziom królowny przeciwstawiona jest pełna życzliwości i żywości logika sierotki (Julia Sobiesiak), która w czasie burzy śnieżnej pociesza, że to już ostatnia taka zadymka w tym roku. Zapytana skąd to wie, odpowiada: „Bo to ostatni dzień roku”. Wokół tych dwóch postaci: rozwydrzonej i krnąbrnej oraz miłej choć biednej, rozwija się cała opowieść. Obie bohaterki poznajemy niespiesznie, dzięki celowym, choć nienachalnym, zabiegom dramaturgicznym prezentującym ich osoby w konkretnych sytuacjach wymagających podjęcia działania i dokonania wyboru, o którym z góry wiadomo, że tylko jeden może być słuszny. Myślę, że jest to jeden z powodów sukcesu tego przedstawienia – za swoją podstawę ma to, co można staroświecko określić mianem *pièce bien faite*.

Na tę konstrukcję nakłada się bardzo konsekwentny zamysł inscenizacyjny, który traktuje fabułę, choć bajkową, jako rzeczywistość „jakby”, zbliżając ją, jak tylko się da, do prawdopodobieństwa realistycznego i psychologicznego. Tak też jest owa bajka zagrana – jakby była to normalna życiowa historia, chwilami tylko inkrustowana odrobiną groteski, jak to ma miejsce w rzeczywistości przezabawnej scenie, kiedy córka macochy (Mirosława Sobik) gestami dubluje słowną opowieść swojej matki (Anna Romanowicz-Kozanecka) o przedzieraniu się przez nocny las w zadymce śnieżnej. Kończy swoją fizyczną opowieść brawurowym ni to czołganiem, ni to falowaniem po ziemi, a wszystko przy zachowaniu tego samego, pewnego siebie i lekko tępowatego wyrazu twarzy. Widzowie w różnym wieku wyli ze śmiechu obserwując grę Sobik, a ona wytrzymała tę formę absolutnie do końca. Innymi takimi rozweselająco-groteskowymi elementami było pojawienie się na imprezie u królowny dwóch posłów, czy też pomysł już niemal absurdalny, który jednak przez swoją chwilowość wyłącznie rozbawiał, polegający na pojawieniu się na scenie niedźwiedzia, który zachowywał się, jakby przez przypadek pojawił się nie na tym spektaklu – miał grać w *Krzyżakach*, a tu na scenie *Dwanaście miesięcy*. Wydaje mi się, że to właśnie dzięki temu, jak grali aktorzy, tak dobrze się tę bajkę oglądało. Ich gra pozbawiona była jakiegokolwiek wdzięczenia się do dzieci, tworzyli swoje postacie równie poważnie, jakby to był każdy inny spektakl.

O bajkowości opowiadanej historii przypominała natomiast scenografia – z jednej strony umowna – jak ściana domu z oknem, piecem oraz spadzistym dachem, sugerująca dom macochy, z drugiej – bardzo realistycznie naśladująca szczegóły tej umownie zaznaczonej przestrzeni. Do tego dochodziły naprawdę świetnie dopracowane efekty świetlne i dymne, kiedy, na przykład, w scenach dziejących się w zimowym lesie cała scena spowita jest leciuteńką mgiełką podświetloną w taki sposób, że bardzo udanie naśladowała efekt śnieżnego pyłu w prawdziwym lesie. Natomiast burza śnieżna to wirujące choinki, co poza ciekawym efektem wizualnym pozwoliło zamaskować zmianę dekoracji (używam właśnie tego słowa z rozmysłem). Następnym planem są kostiumy wykonane z ogromną dbałością o szczegóły, co mogłam docenić, siedząc w drugim rzędzie. Bardzo bogate przywołują zestaw wizualnych wyobrażeń na temat rosyjskiej kultury ludowej – w tym kontekście, na przykład,

nie raziły okrągłe i namalowane na twarzy rumieńce macochy.

Myślę jednak, że to przedstawienie zawdzięcza sukces przede wszystkim temu, że pokazuje świat bez ambiwalencji, taki, w którym działa siła wyższa będąca w stanie przywrócić zaburzony porządek, gdzie czarne jest czarne, białe jest białe, a dobro po prostu musi zwyciężyć. Nie sądzę, żeby generalny powrót do takiego tworzenia teatru dla dzieci był dobrym pomysłem, ale raz na jakiś czas, szczególnie kiedy jest to tak dobrze zrobione przedstawienie, jak spektakl Zaczekiewicza, oglądanie czegoś tak uroczo staroświeckiego może dać prawdziwą przyjemność. Bo zachwyca, choć nie powinno...

9-01-2017